

Joanna Szczepkowska

CZY tak właśnie absolwent wyższej uczelni teatralnej wyobraża sobie pierwszy sezon artystyczny? — pytamy Joannę Szczepkowską, która ma za sobą rok udanych debiutów.

— Na pewno; o pierwszym sezonie, takim jak mój — marzy się kończąc szkołę teatralną. Udało mi się zadebiutować we wszystkich dziedzinach zawodu, w bardzo dobrych spektaklach, chętnie oglądanym filmie. Po telewizyjnym spektaklu „Trzech sióstr” (w ub. sezonie) zagrałam w moim macierzystym Teatrze Współczesnym niedużą, ale ciekawą rolę w „Janie Gabrieliu Borkmanie”, a ostatnio — Anię w „Wiśniowym sadzie”. Wreszcie — pierwsze duże zadanie filmowe w „Con amore”.

— Jaka była Pani dewiza u progu dorosłego aktorskiego życia?

— Chciałam spróbować wszystkiego. Co jest charakterystyczne dla mojego pokolenia aktorskiego — więcej mam doświadczeń telewizyjnych i filmowych, niż teatralnych. To oczywiście: teatr daje rocznie tylko kilka premier. Czasem interesuje mnie bardziej mały charakterystyczny epizod niż duża a biała rola. Film. Telewizja stwarzają aktorowi tę ogromną szansę kierowania sobą, decydowania o wyborze ról.

— Pogratulować, wybierała Pani nader trafnie. Czy z pomocą Ojca, Andrzeja Szczepkowskiego?

— Wiedziałam, że Pani o to spyta... Ojciec tak bardzo nie chciał, żebym została aktorką. Zade monstrowałam swój upór wybierając szkołę teatralną i teraz myślę, że jest nam z tym dobrze. Szalenie ufam ojcu i czasami rzeczywiście rozmawiam z nim na temat propozycji, jakie otrzymuję. Ale nie zawsze jesteśmy zgodni. Czasem kieruję się własnym zdaniem, czasem jest to nasz wspólny upór.

— Czy ma Pani tremę grając z Ojcem?

— Ogromna! Przyszan, że chciałam uniknąć takich sytuacji. Jednak zdarzały się... Nie przypuszczałam nawet, jaka to przyjemność grać z Ojcem.

— Jest Pani w zespole Teatru Współczesnego, sceny o wielkich tradycjach, prowadzonej niezmiennie przez Erwina Axera. Czy trudny był ten debiut?

— Miałam to szczęście znaleźć się w teatrze wybitnych indywidualności aktorskich, które nie tylko ambicjonują, ale i inspirują. Zdaję sobie sprawę z tego, że teraz właśnie zaczęła się moja szkoła teatralna. Nie mam żadnych wątpliwości: bardzo dużo się w tym teatrze uczę.

— Zapewne ma Pani wymarzoną rolę.

— Mam, ale nie powiem.

— Zgoda, pomówmy o piosence. Słyszałam Panią w „Lekcji piosenki” w PWST. Czy to przygoda? Czy może spróbuje Pani, zgodnie ze swoją

dewizą, i w tej dziedzinie wykonawstwa?

— To zabawna historia. Nigdy nie podejrzewałam siebie o jakiejkolwiek możliwości w tej mierze. Ale znowu miałam szczęście. Wszyscy mogą się przekonać w TV, ile może zdziałać prof. Bardini. Ja też jemu zawdzięczam przełamanie swojej niewiary. Za jego radą wybrałam piosenkę charakterystyczną, aktorską, koncentrując się na małej roli, a zapominając o obawach wokalistki. Doszło do tego, że w przedstawieniu dyplomowym zagrałam Basię



Chciałam spróbować wszystkiego...
Fot. A. Szarkowski

z „Krakowiaków i Górali”. Chcę spróbować śpiewać, ale na ten debiut jeszcze muszę poczekać. Po prostu uczę się, kształcę głos.

— Na koniec zachowałam pytanie o Pani ocenę tych sukcesów. Jeden sezon, tyle zasłużonych pochwał, czy nie grozi Pani zawrót głowy?

— Chyba nie. Nie jestem pewna, czy te pochwały zawsze były zasłużone. A skoro kończymy tę rozmowę, przyszan się, że ten rok zamykam jeszcze jednym debiutem. To był mój pierwszy wywiad.

Rozmawiała: Krystyna Gudewicz